

Herce i dioptrie

Stało się. Zniszczyłem ulubione okulary do czytania i komputera – druciaki w starym stylu.

Usiadłem na nich. Kiepska sprawa, bo zapasowe też zaczynają się sypać. Wprawdzie mam jeszcze kilka par, ale służą do czego innego.

Maciej Stryjecki

Przy wadzie wzroku powyżej minus 5 dioptrii i w pewnym wieku to normalne. Bez okularów nie da się prowadzić samochodu, zrobić kanapki czy nawet wyjść na ulicę. Można otworzyć drzwi listonoszowi, bo drogę we własnym mieszkaniu zna każdy. Ale co przyniósł, będzie widać dopiero z odległości dziesięciu centymetrów. Ten dystans to dla krótkowidza naturalny ogląd świata. Wszystko dalej to mydło. Rozmazana rzeczywistość, tak jakby się patrzyło przez denko słoika.

„Mocnemu” krótkowidzowi okulary są niezbędne do przeżycia, jak nurkowi butla z tlenem. Jeżeli je nosicie, wiecie, o czym mówię. Wstęp był dla szczęśliwców, którzy tego uniknęli.

Druciaki z noskami są bardzo wygodne. Dobrze się w nich czuję. Są lekkie, a nosek oddala oprawki od policzków. Inna rzecz, że wbrew pozorom, metal okazuje się mniej wytrzymały od grubego tworzywa sztucznego. Takie okulary potrafią posłużyć o połowę krócej od plastikowych beznoskowców, które mają prostszą konstrukcję, są sztywniejsze i masywniejsze, ale trzeba je bardzo starannie dobrać, bo niczego nie da się w nich wyregulować. Druciaki są też przeważnie tańsze, co ma znaczenie w sytuacji, kiedy wada zaczyna się powoli, ale systematycznie cofać.

Plastikowe były modne przez ostatnich kilka lat. Dobrze wyglądają, a nawet dodają twarzy charakteru. Ten typ zawsze pozostanie zarezerwowany dla ludzi, którzy chcą z okularów zrobić atut. Poprawić nudną facjatę albo podkreślić urodę ładnej. Druciki są z natury delikatniejsze i przeważnie znikają na twarzy. Pomijając oczywiście styl „boga tego Niemca”, czyli „złote tarasy”.

Plastików mam cztery pary; wszystkie „wyjściowe”. Doskonale widzę w nich z daleka, dzięki czemu są idealne do kina, samochodu i na spacer. Wszystko pięknie do chwili, kiedy muszę przeczytać etykietę w sklepie albo SMS na mojej kochanej Nokii 6310i. Między innymi dlatego będę się musiał przesiąść na smartfon z dużym ekranem. Na starość tak się po prostu robi.

Osoby, które do tej pory widziały świetnie i nie musiały się wspomagać szklanymi soczewkami, nagle dostają „syndromu długich rąk”. Nadal mogą funkcjonować bez okularów, ale do czytania muszą je sobie sprawić.

W przypadku krótkowidzów sprawa jest bardziej złożona.

Wada zaczyna się cofać i to jest dobra wiadomość.

Mnie przez ostatnie lata „zleciało” pół dioptrii.

Złych jest jednak więcej.

Trzeba wymienić wszystkie wyjściowe okulary, a domowe przestają być uniwersalne i trzeba mieć drugie, do czytania. Z czasem okazuje się, że i trzecie – do patrzenia na średni dystans. Czyli do funkcjonowania w domu, z oglądaniem telewizji włącznie. Bolesnie doświadczył tego mój przyjaciel, organista. Na pulpitu z nutami patrzy z odległości pół, półtora metra. I okazuje się, że ani „wyjściówki”, ani te do czytania się nie nadają.

Okularów nie zamawiam w sieciówkach, tylko w małych zakładach optycznych. Po pierwsze, zrobią lepiej, bo muszą się starać; zwłaszcza w mniejszych miastach. Wystarczy jedna fuszerka

i idzie fama, żeby taki punkt omijać szerokim łukiem. Po drugie, przeważnie mają tam oprawki z wysokiej półki w cenach trudnych do uwierzenia. Na przykład: Alain Mikli za 500 zł (potrafią kosztować spokojnie ponad 2000 zł) czy „wysoka” Prada za 350 zł. Żaden tam drugi gatunek. Nówka sztuka, nieśmigana.

W Warszawie znam dwa doskonałe punkty: jeden na Pradze, drugi na Powiślu. Tym razem wybrałem się do pierwszego, przy ulicy Żąbkowskiej. Jako że potrzebuję okularów do czytania, proszę o pokazanie druciaków. Pamiętam ostatnią wizytę, chyba dwa lata temu – wybór nie był oszałamiający. Tym razem asortyment znacznie bogatszy. Pytam więc, skąd ta zmiana? Ano stąd, że wraca moda na ten rodzaj. Co ciekawe, wcześniej słyszałem to od siostry, której tę samą informację przekazał optyk w Bytomiu.

Bardzo się ucieszyłem, że znów będę modny! Poprzednio podobną radość sprawił mi test integry Coplanda, z której usłyszałem coś wyjątkowo miłego mojemu sercu. To niewielka duńska firma. Zaczyna i prestiżowa, ale jednak niszowa, dla prawdziwych audiofilów. Wspomnienia wróciły jednak ze zdwojoną siłą, kiedy do mojego systemu trafiły „setki” z najnowszej serii Gold Monitor Audio. A to już duży gracz. Ma swoją filozofię, ale też uważnie obserwuje rynek i albo wpisuje się w trend, albo ryzykuje i postanawia wyznaczyć nowy.

Na podstawie obu doświadczeń od słuchowych zaczyna mi się klarować przypuszczenie, że chyba wraca moda na wyraźne wysokie tony. To wielka ulga, bo zmęczył mnie już „ciepły, lampowy dźwięk”, polegający na wygładzaniu i wycofywaniu tego zakresu. Doszło wręcz do tego, że część producentów przestała mnie interesować. Wśród nich znalazł się nawet Audio Physic – jego ostatnimi kolumnami, które naprawdę lubię, są Tempo VI. A tu, proszę, taka niespodzianka. Poczulem się niemal tak, jakby wada (tym razem słuchu) cofnęła się o dwie dioptrie.

Będę wyraźniej widzieć i słyszeć. Czy mogłem dostać lepszy prezent na wiosnę?